

Rozdział I

– Chłopaki dzisiaj przyjeżdżają! Andrzej i Janek! – zawołał pan miecznik Winnicki, a jego twarz pocięta licznymi bruzdami zmarszczek rozjaśniła się uśmiechem. – Janek!

I nagle jego radość znikła, głęboka fałda pojawiła się między brwiami, oczy zwilgotniały i nawet łza pociekła po policzku.

– Masz, mości mieczniku dobrodzieju – odezwał się z uszanowaniem stojący obok pan Łubkowski, stary rezydent – nie lada powód do radości, bo też synkowie się udali, chłopcy jak dęby, a Janek! Toż to gładyś, jakiego drugiego w całej Rzeczypospolitej nie masz, choć i Andrzejowi niczego nie brakuje. Wielkie to dobrodziejstwo od Boga mieć takich synów. O, jak się chłopaki cieszą, wyobrażam sobie! Tyle czasu poza domem w konwikcie, toż sobie teraz użyją! A niech tam! Dobrze to młodemu, nieprawdaż, mości mieczniku dobrodzieju?

Pan miecznik Winnicki milczał, ale łza toczyła się nadal po policzku. Odwrócił się do okna, żeby rezydent nie widział objawów jego słabości, i nagle przerwał panu Łubkowskiemu.

– Powinni być dzisiaj! Konie dobre, na południe chyba zdążą! Idź wasze do Tomasza i dowiedz się, czy wszystko gotowe na ich przybycie. Komnatę kazałem tam od lewej oficyny przygotować, łóżka pościelić, po takiej podróży odpocząć będą musieli, a ja tymczasem ranne pacierze odmówię.

– Rozkaz, mości mieczniku dobrodzieju – odparł, kłaniając się pan Łubkowski i wyszedł z komnaty.

Odprawiwszy pana Łubkowskiego pod tym pozorem, miecznik zadumał się. Wielka zgryzota odbiła się na jego twarzy.

– Janek – szeptał – syn mój ukochany, najdroższe dziecko nieszczęsne – i łzy zaczęły się już strumieniem lać mu z oczu – najukochańszy mój syn, taki silny, taki utalentowany, taki piękny! O nieszczęście! Co czynić? Może wybrać się do króla Jegomości?

Lecz cóż to pomoże! Niektórzy ludzie o tym wiedzą, a najgorzej, że wie o tym Kobierzycki z Wolicy. O synku mój ukochany! Czy ty przebaczysz ojcu swemu tę krzywdę? O Boże Miłosierny i Ty Matko Najświętsza! Pomóż! Ratuj! – Mówiąc to do siebie, pan Miecznik nerwowo chodził po komnacie. Wreszcie nieco się uspokoił, ukląkł na klęczniku, który stał w kącie komnaty, i zaczął półgłosem ranne pacierze odmawiać.

Tymczasem pan Łubkowski pokuśtykał żwawo do kuchni.

– Magda – zawołał – a Tomasz gdzie?

– Przecież poszedł do spichrza, nie pamiętasz już panie Alojzy? – odpowiedziała Magda, zamaszysta baba w mocno przydeptanych chodakach na bosych nogach.

– A pokoje dla paniczów gotowe? – pytał pan Łubkowski. – Pan miecznik kazał pytać!

– Pewnie, że gotowe, co waść sobie o mnie myślisz! – zawołała Magda urażona. – Dla paniczów nie miałyby być gotowe? Wszystko gotowe, pościel świeżą nałożyłam, nie czekałam na waścinę ponaglenia, panie Alojzy!

– To dobrze, dobrze – odparł pan Łubkowski pojednawczo i nie czekając na dalszy potok słów zaczętnie nastrojonej klucznicy, śpiesznie wyszedł na dziedziniec.

Dwór w Turadach, posiadłość Winnickich z dziada pradiada, nie był zbyt okazały ani budowany w jakimś konkretnym stylu, ale obszerny i wygodny, z komnatami, które bogatymi sprzętami ozdobione, świadczyły o zamożności jego właścicieli. Obecny dziedzic Turad, Imć Ksawery Winnicki, miecznik powiatowy, był potomkiem starego polsko-ruskiego rodu. Po długiej wojaczce i licznych przygodach osiadł na stałe w Turadach, które po śmierci swego brata odziedziczył. Ożenił się z jejmościanką Teresą Kobierzycką, córką podczaszego z Wolicy, ale małżeństwo nie trwało długo. Po dwóch latach żona jego umarła, pozostawiawszy dwóch synów, Andrzeja i Jana. Jan, podobno dwa tygodnie przed śmiercią matki urodzony, wychowywał się poza domem. Jako sześciolatniego już chłopca ojciec przywiózł go do Turad i odtąd wychowywał się razem ze starszym o rok bratem Andrzejem. Wśród domowników Turad krążyła, na ucho jedynie powtarzana plotka, że Janek nie

jest synem Teresy z Kobierzyckich Winnickiej, ale jakiejś innej kobiety. Głośniej o tym nikt jednak nie ośmielał się mówić, gdyż pan miecznik był surowy i wielce porywczy i mógłby nawet poturbować plotkarza. Janek był jego ulubieńcem, chociaż Andrzeja także bardzo kochał. Janek był zresztą ulubieńcem wszystkich. Jak na swój wiek niezwykle poważny, swoim serdecznym wobec domowników postępowaniem zjednywał sobie ich serca. Pan miecznik, tak ostry i surowy wobec innych ludzi, dla Janka miał miękkie serce i pozwalał mu na wszystko, ale chłopak nie wykorzystywał tej słabości ojca do siebie. Był grzeczny i posłuszny, pozostając wzorem dla swoich rówieśników. Zresztą także Andrzej swoim postępowaniem trosk ojcu nie przysparzał. Pan miecznik prowadził życie samotnika, ze swoją rodziną nie utrzymywał bliższych kontaktów, a z rodziną swej zmarłej żony był w stałej wojnie. Do nikogo w odwiedziny nie jeździł, ani też nikogo w swoim domu nie przyjmował, co wówczas rzadkością wśród szlachty polskiej było. Od spraw publicznych też się całkowicie odsunął. Majątek miał znaczny, bo oprócz Turad należało do niego osiem wsi, a po żonie pozostała mu wieś Wolica, którą za darmo bratu swej zmarłej żony w używanie oddał, ale z nim żadnych bliższych stosunków nie utrzymywał. Wolica była oddalona od Turad zaledwie dwie mile. Tak oto pan miecznik żył w samotności, nikogo do siebie oprócz służby i synów nie dopuszczając. Jedynym wyjątkiem był pan Łubkowski, daleki kuzyn, który przed laty zawędrował do Turad i już tam na stałe w charakterze rezydenta pozostał. Pan miecznik z początku go nie lubił, potem się do niego przyzwyczaił, ale go do swoich tajemnic nie dopuszczał. Pan Łubkowski liczył sobie nieco ponad siedemdziesiąt lat i w swym życiu wiele doświadczył, wielu niepowodzeń doznał, a majątek odziedziczony po rodzicach przehulał. Potem po dworach swoich krewnych i znajomych się włóczył, przebywając u nich po kilka tygodni lub miesięcy, ale osiadł na dobre dopiero u miecznika. Życie dworzanina czy rezydenta nauczyło go sztuki dostosowywania się do otoczenia, do znoszenia złych humorów gospodarza i to zapewne sprawiło, że osiadłszy w Turadach – zwłaszcza po wyjeździe Andrzeja i Janka do szkół we Lwowie –

stał się nieodstępnym towarzyszem miecznika, a służba tytułowała go *iure caduco* chorążym.

Tak urządził się pan Łubkowski na stare lata, ongiś szlachcic dosyć zamożny, jak mawiano wtedy *bene natus et possessionatus*, korzystając z łaskawego chleba rezydenta. Takich rezydentów obojga płci tułało się wielu po pańskich dworach, płaszczyli się oni i schlebiali możniejszym i swoje utrzymanie ich łasce zawdzięczali.

– Gorzki ten chleb rezydenta – mawiał nieraz pan Łubkowski, kiedy go pan miecznik nie mógł słyszeć – ale cóż mam robić? Wziąć się do pracy jakiejś, rzemiosłem czy handlem się parać? To bym klejnot szlachectwa stracił! A więc trzeba cierpieć, znosić pańskie chimery i tak siedzieć na łasce pańskiej, dopóki się da. A jak to nieraz trudno!

Podczas gdy pan miecznik tak niecierpliwie swoich synów wyglądał, Andrzej i Janek jechali bryką do Turad. Z konwiktu ojców jezuitów wypuszczeni po ukończeniu pięciu lat nauki z radością wracali do domu. Furman Petro, wypiwszy sobie nieco gorzałki w karczmie, koni nie żałował. Chłopcy zaś kręcąc się na siedzeniu bryki, cieszyli się wszystkim, co się dookoła nich działo. Radował się zwłaszcza Andrzej, śmiał się, pokrzykiwał, głośno wyrażał swoją uciechę. Migwały mu przed oczami konie do ujeżdżania, polowania, kuligi, dziewczęta, szalone zabawy.

– Do domu jedziemy – wołał co chwilę – hu, ha, do domu!

Janek siedział spokojnie w bryczce, poważny jak zwykle, ale i jemu śmiały się oczy. Nie okazywał swojej radości tak spontanicznie jak Andrzej. Chwilami nawet smutek pojawiał się na jego twarzy, wyglądał tak, jakby sobie co jakiś czas przypominał o czymś przykrym. Zauważył to w pewnej chwili Andrzej i zawołał:

– Hej, Janku, nie cieszysz się, że do domu jedziemy? Już nas bazyliżki – tak Andrzej ojców jezuitów nazywał – nie będą do Alwara gonili! Brr – wstrząsnął się gwałtownie – już nigdy w życiu do łaciny zapędzić się nie dam. Szlachcic jestem z dziada pradziada, milsza mi zawsze szablina i dziewczyna niż łacina – powtórzył gdzieś usłyszane powiedzonko. – No mów coś, Janku! Czego sie-

dzisz jak ten puchacz! Oj, dziwny ty jesteś, dziwny! Nigdy nie wiadomo, co zrobisz! No rozruszaj się, ciesz się razem ze mną!

Lecz Janek milczał dalej, najwyraźniej pogrążony w swoich myślach. Widząc, że brata rozruszać nie potrafi, Andrzej machnął ręką i wdał się w żywą pogawędkę z furmanem.

Bracia różnili się od siebie nie tylko fizycznie. Andrzej dość wysokiego wzrostu, miał niebieskie oczy i blond włosy. Z natury był dobronurzy i serdeczny, czasami porywczy, ale nie zawzięty i nie mściwy. Chłop szczerzy jak złoto! – mawiali o nim koledzy z konwiktu. Janek natomiast prezentował zupełnie inny typ urody, bardzo wysoki, przerastał swego brata prawie o głowę, szeroki w ramionach, miał ciemne włosy i duże czarne oczy. Właśnie te duże, melancholijne i pełne wyrazu oczy zwracały uwagę wszystkich, a zwłaszcza dziewcząt. Jego zachowanie odróżniało go często od rówieśników, niekiedy ogarniała go dzika, niepohamowana wesołość, wtedy bawił się i śmiał bez miary. Innym razem poddawał się melancholijnym nastrojom, szukał samotności i rozmyślał, całymi dniami do nikogo się nie odzywał. Często w takich chwilach brał teorban i śpiewał, a głos miał silny. Należał wszak do najlepszych śpiewaków w szkolnym chórze. W nauce był prymusem. Andrzej natomiast uczył się po szlachecku, ledwie dostatecznie. Naukę uważał za zło konieczne. Jeżeli niekiedy się uczył, to ze strachu przed dyscypliną, której ojcowie jezuici swoim wychowaniem nie żalowali. Jeżeli coś zbroił, kładł się z uległością na kobiercu i starał się pokorą przebłagać ojca prefekta. Inaczej było z Jankiem. Starał się spełniać nałożone na niego obowiązki, jak mógł najlepiej. Bardzo zdolny, z łatwością uczył się łaciny, którą w jezuickim kolegium przede wszystkim wbijano uczniom do głowy. Kolegium ukończył z notą *maxima cum laude*. Nie było jednak mowy o poddaniu się przez niego karze cielesnej. Gdy mu raz za jakieś przewinienie czterdzieści plag zaaplikować kazano, wpadł w furję, pobił kalifaktorów i z trudem go obezwładniono. Potem wyczerpany walką zemdlał. Zamknięto go przeto w karcerze na trzy dni o chlebie i wodzie. Karę zniósł w milczeniu, nie bito go nigdy więcej.

Bracia żyli ze sobą w przykładowej zgodzie. Andrzej kochał bra-

ta, ale czasami drażniło go jego nierówne usposobienie. Poza tym nie raz zazdrościł mu siły fizycznej, postępów w nauce, powszechnej sympatii u ludzi, ale były to mało znaczące zgrzyty. Obaj bracia nie mieli jak do tej pory miłosnych przygód. Zamknięci przez pięć lat w konwiktach, skąd ich prawie nie wypuszczano, nie spotykali ani młodych panienek, ani młodych kobiet. W domu, w Turadach, Andrzej nieraz zerkał na dworskie dziewczuchy, ale u pana miecznika panowała surowa dyscyplina i o bliższych kontaktach z dziewczynami mowy nawet nie było. W Janku nie obudził się jeszcze temperament i nie odczuwał pociągu do kobiet. Marzyła mu się natomiast sława wojenna, sława rycerza, który broni wiary i pokrzywdzonych ludzi. Siedząc w bryczce obok Andrzeja, zagłębiał się w swoich myślach tak dalece, że nawet nie rozumiał, co Andrzej do niego mówił. Konie pędziły szparko, Andrzeja bawiła niesłychanie taka szybka jazda. Nagle usłyszeli za sobą tętent koni i głośny turkot jakiegoś pojazdu. Zza zakrętu wyłoniła się kolaska ponoszona przez spłoszone konie.

– Zjeżdżaj na bok! – krzyknął Andrzej na furmana.

Petro ledwie zdążył skrócić w bok, by uniknąć zderzenia z pędzącymi końmi. Konie minawszy brykę, rwały dalej, ciągnąc za sobą kolaskę, która przechylała się raz na jedną, to znów na drugą stronę. Furmana na koźle nie było, widocznie spadł po drodze. Z kolaski wydobywał się przeraźliwy krzyk kobiet.

– Goń, Piotrze, konie, ile tylko możesz! – krzyczeli Andrzej i Janek. Ale podnieconych widokiem gonitwy koni nie trzeba było popędzać, same rwały, ile miały sił. Obaj bracia trzymali się poręczy siedziska bryczki, gotowi w każdej chwili wyskoczyć i przyjść z pomocą kobietom. W tumanie kurzu stracili nawet z oczu kolaskę. Lecz na szczęście kolaska była ciężka, ciągnące ją konie zmęczyły się długim biegiem i nieco zwolniły. Bryka Winnickich zrównała się z kolaską.

– Stój! Ho! Ho! – krzyczeli Andrzej i Janek z całych sił. Nagle koło kolaski zaczęło o kamień, konie na moment przystały, ale potem szarpnęły ze zdwojoną siłą, dyszel pękł z trzaskiem, a kolaska przechyliła się gwałtownie na bok. Siedząca z prawej strony kobieta wypadła z kolaski i wpadła w ramiona Janka, który w tym

momencie wyskoczył z bryki. Szarpnięta gwałtownie kolaska zatoczyła łuk na drodze i szczęśliwie omijając Janka, zwała się na ziemię. Andrzej i Petro chwyciwszy za lejce, z największym wysiłkiem zatrzymali rozhukane konie. Spod kolaski wydobywały się przeraźliwe jęki. Janek stojąc na drodze, trzymał na rękach zemdloną dziewczynę. Miała może osiemnaście lat. Nakrycie zleciało jej z głowy i jasne warkocze opasały niemal szyję Janka, twarz dziewczyny nawet w takiej chwili uderzała niezwykłą urodą. Po chwili Janek złożył ją na murawie obok drogi. Andrzej i furman wydobywali spod kolaski drugą jęczącą kobietę. Leżąca na trawie dziewczyna była jeszcze nieprzytomna, oczy miała zamknięte i Janek zastanawiał się, jak ma jej przyjść z pomocą. Nagle poruszyła się, wydając głębokie westchnienie, wkrótce otworzyła oczy i wzrok jej spoczął na nachylonej nad nią męskiej twarzy.

– Gdzie jestem – zapytała przestraszona – co się ze mną stało?

– Już wszystko w porządku – odpowiedział Janek – na szczęście zdrowa i cała wyszłaś, panienko, z tej niebezpiecznej przygody.

Dziewczyna usiłowała się podnieść, Janek pomógł jej stanąć na nogi. Początkowo oparła się na nim, ale za chwilę stanęła już pewnie.

– Kim waćpan jesteś? Komu mam podziękować za ratunek? Oczy jej i Janka spotkały się ze sobą. Obydwoje poczuli, że spodobał się sobie, a ich serca zabiły szybciej. Janek przerwał milczenie.

– Jesteśmy bracia Winniccy z Turad – jego głos zdradzał przebyte wzruszenie – Widzieliśmy, jak konie ponoszą kolaskę, i na szczęście udało się nam ją zatrzymać.

– Dziękuję wam z całego serca – odparła dziewczyna jeszcze łamiącym się głosem i ponownie jej oczy spotkały się z oczami Janka.

Tymczasem z gościńca dochodziły żałosne jęki. To druga kobieta wyciągnięta spod kolaski jęczała z bólu. Dziewczyna usłyszawszy te jęki, zawołała:

– O Boże, co się stało z ciocią! – I podbiegła do leżącej na trawie swojej towarzyszki. – Ciociu Filu, co się cioci stało? – pytała zaniepokojona, klękając nad nią.

– Oj, Bisiu – wyszeptała ciocia Fila – rękę mam złamaną, a tobie, gołąbeczko, nic się nie stało?

– Nic, ciociu – odparła Bisia. – Jak ci pomóc?

– Nie wiem, chyba umrę tu na drodze – zajęczała pani Fila.

– Jesteśmy na wasze usługi – zawołali obaj bracia – co mamy czynić?

– Myślę – rzekła dziewczyna – że najlepiej by było, gdybyście mogli nas zawieźć do domu, do Stryja, to półtorej mili stąd. Ja jestem Beata Komorowska, a ojciec mój jest starostą stryjeckim.

– Ależ owszem – zawołali bracia – chętnie usłużymy jejmościankom

– Tak, byle jak najprędzej do domu – wołała ciocia Fila – chcę umrzeć w domu!

Młodzieńcy raźnie się zakrzętnęli. Ostrożnie wsadzili ciocię do swojej bryczki, Andrzej usiadł na koźle, by powozić brykę zamiast furmana, który pozostał na straży przy koniach pana starosty i rozbitej kolasce. Janek stanął na stopniu bryki, gotów w każdej chwili do usłużenia niewiastom. Ciocia Fila jęczała z bólu przy każdym wstrząsie. Beata podtrzymywała ją i uspokajała. Janek stojąc na stopniu bryczki obok Beaty, co jakiś czas obejmował wzrokiem twarz pięknej panny, jej twarz wydawała mu się ideałem kobiecego piękna, ucieleśnieniem jego marzeń. Beata była zajęta ciocią, ale rejestrowała spojrzenia Janka, choć sama starała się na niego nie patrzeć. Czuła wyraźnie, że jest obiektem zainteresowania tego dzielnego i przystojnego młodzieńca, po części wprawiało to ją w zmieszanie graniczące z lekkim oburzeniem, a po części była dumna, że ten młody człowiek jest nią tak oczarowany.

Jadąc z konieczności noga za nogą, dojechali do dworu pana starosty Komorowskiego już dobrze po południu. Bryczka zajęchała przed ganek. Z domu wyszedł szlachcic z podgoloną czupryną, zwany przez domowników żartobliwie marszałkiem dworu. Pan Szaflarski w rzeczywistości był rezydentem u pana starosty i jego totumfackim. Spostrzegłszy brykę, a obok niej nieznanych mu młodzieńców, podszedł do nich i ceremonialnie się kłaniając, zapytał:

– Hm, hm, panie dzieju, kogo mam powitać?